Odra
Wrocław
10-22
M. / Nr 10

Adam Wiedemann

TAJEMNICA

Muzycy najczęściej nie umieją wypowiedzieć tego, co czują i robią. Jeśli już w ogóle o czymś mówią, to o problemach czysto technicznych. Raz po koncercie Eugenii Umińskiej (...) starałem się wyciągnąć skrzypaczkę na rozmowę o solowych partitach i sonatach J. S. Bacha. Usłyszałem tylko jedno zdanie: Najtrudniejsza jest piąta, ta w C-dur.

Wacław Kubacki, *Dziennik, 8.6.1949*

Wszystkich nas to zapewne nurtuje, ale wstydzimy się zapytać: o czym myśli pianistka grająca jakiś nieludzko trudny albo nieziemsko piękny utwór? Wykonująca go też nieziemsko, całkiem inaczej niż wszyscy, a jednocześnie równie znakomicie, wspinająca się na same szczyty możliwości, na jakie stać ludzkość? A raczej nie o czym myśli, tylko co myśli, jak ten proces myślowy przebiega, jakie pojawiają jej się przed oczami obrazy (czy też może nie pojawiają się), czy jest skupiona na utrzymaniu się w stanie maksymalnej koncentracji, albo wręcz przeciwnie, dąży raczej do wyluzowania, puszczenia wodzy wyobraźni, pewnego wręcz otępienia? Dysponujemy na ten temat nader skąpymi informacjami, rzecz tak z pozoru dostępna okazuje się wielką „tajemnicą", muzycy skąpią nam zwierzeń albo też nie potrafią ich wysłowić, wywiady z nimi przypominają paradoksalnie rozmowy z piłkarzami po strzeleniu gola, są nawet jeszcze bardziej rozczarowujące, bo czego tu się spodziewać po piłkarzu. Pani Chęćka spróbowała raz nakłonić znajomego pianistę do refleksji na temat wykonania drugiej części *Sonaty D 960* Schuberta[1], i co? Otrzymała garść spostrzeżeń na temat samego utworu i tego, czego on wymaga, nie o to chyba jej chodziło i nie o to chodzi też nam, ciekawskim.

Ewa Pobłocka jest pianistką znakomitą, pewnie najlepszą, jaką dziś w Polsce mamy, jej osiągnięcia fonograficzne są zawsze najwyższej jakości, a obejmują repertuar od Bacha po Lutosławskiego i Szymańskiego (co ciekawe, Chopin, pozostający niejako w centrum zainteresowań mistrzyni, bywa niekiedy rozczarowujący, acz jej wykonanie *Pierwszej Sonaty* uważam za najlepsze na świecie), na jej koncerty zawsze staram się pójść, choćby żeby zobaczyć efektowne kreacje, w które się ubiera[2], stąd też gdy dowiedziałem się, że wychodzi jej książka, rzuciłem się na nią z iście wilczym apetytem, licząc na to, że mnie oświeci.

Swoją karierę pisarską Pobłocka rozpoczęła w 2011 roku, publikując pięcioczęściowe *Dzienniki japońskie*, które czytałem z zaciekawieniem, choć o muzyce było w nich tyle, co na lekarstwo. Była to raczej narracja „przygodowa", rozpoczynająca się stwierdzeniem: *Podróż w klasie biznesowej chyba zawsze wprawia w dobry humor*, a zakończona „małą epopeją" o przymusowym pobycie na paryskim lotnisku wskutek niewinnych z pozoru opadów śniegu. Po drodze mamy tu zaś zarówno zgryźliwe uwagi o japońskich dziewczynach (*Przy komórkach mają dziesiątki świecidełek, dzwoneczków, kotków, a w oczach – pustkę, bo nawet nie „nicość"*), jak i o Miszy Majskim, który jest chyba męczącym wszystkich dokoła dowcipnisiem, mamy wycieczkę pod górę Fudżi (niestety, przesłaniała ją mgła) i na Mur Chiński (niestety, Pani Ewa *nie czuła się w kondycji*, by się na niego wspinać), mamy minirelacje z koncertów kolegów i koleżanek występujących akurat w Japonii; *Akiko* [Ebi] *grała niesłychanie „osobiście"*; *Dang* [Thai Son] *wspaniale zbudował cały cykl, tworząc niezwykłą dramaturgię. W wolnych miniaturach czarował pięknym dźwiękiem i długimi frazami...*, mamy wreszcie wspomnienie momentu, *gdy nastoletnia pianistka podczas*

1 Zob. Anna Chęćka-Gotkowicz, *Ucho i umysł*, Gdańsk 2012.

2 [żartowałem]

wjazdu wyciągiem na Śnieżkę doszła do swej „życiowej filozofii": Chciałabym siedzieć na krzesełku, ale żeby jednocześnie to krzesełko było puste.

Doskonale czytało mi się te *Dzienniki*, wyczekiwałem wręcz każdego następnego odcinka i zasmuciłem się, gdy dobiegły końca. Podobał mi się ich banalizm, niewymuszoność, sympatyczna poczciwość przyprawiona odrobiną nonkonformizmu, a także fragmenty typu: *Wieczorem kolacja w rybnej restauracji, o czym napiszę już jutro* (które to „jutro" nie następowało). Co innego książka, od książki oczekuje się bycia książką, czymś mającym jakiś odgórny zamysł, jakiś przekaz i jakąś moc. Tymczasem jest to (jak się dawniej mawiało) *zbiór tekstów połączonych osobą autorki*, wobec którego czuję się dość bezradny. Formalnie rzecz biorąc można podzielić go na „wspomnienia" i „refleksje", jednak i ten podział nie działa wobec różnorakości podejść, jakie tu zastosowano, by osiągnąć efekt w postaci tekstu. Są to nieustanne zmagania z literacką materią, którą autorka zasadniczo ma nieźle opanowaną, jednak wciąż nie jest w stanie okiełznać jej do tego stopnia, by na tym gruncie poczuć się naprawdę pewnie. Mnie jako czytelnika zmagania te męczyły nieco, bardziej niż w przypadku *Dzienników*, które do książki nie weszły i przy których książka wydaje się znacznie bardziej konwencjonalna, uczniowska, a to dlatego, iż jest wyrazem znacznie wyższych ambicji.

Rzecz nazywa się *forte-piano*, co obok ewidentnego nawiązania do „narzędzia pracy" autorki ma chyba sugerować, że również i pod względem czysto tekstowej ekspresji doznamy licznych przeskoków od „ciszy" do „hałasu". Nic z tego, panuje w tej książce dynamika ściszona[3], daleka wszak od intymnego szeptu, wynikająca raczej ze „wstydliwości uczuć", o której niech zaświadczy ten fragment, poprzedzający kodę pierwszego rozdziału: *I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie styczniowe wydarzenia z 2019 roku, które z jednej strony jeszcze bardziej umocniły moje poczucie przynależności do tego miasta, z drugiej zasiały we mnie pewien niepokój.* Wiedząc, że zdanie to dotyczy Gdańska, można domyślić się, że chodzi o przeraźliwy fakt zabójstwa prezydenta miasta, został on jednak przedstawiony tak oględnie, iż równie dobrze możemy się tego nie domyślić (kto dziś pamięta wydarzenia sprzed trzech lat?), zwłaszcza że rezultatem psychicznym tej zbrodni okazuje się zaledwie „pewien niepokój". Ewa Pobłocka dopuszcza nas do swych światów wewnętrznych w sposób zdystansowany, bez jakiejkolwiek emfazy, a za to z nieustanną dbałością o elegancję każdej frazy.

Książka zaczyna się jak typowa autobiografia, wspomnieniami z dzieciństwa, i są one właśnie takie jak się uważa, że powinny być: ani zbyt słodkie, ani zanadto dramatyczne, autorka nie pamięta nazwiska krawcowej, z której usług korzystała jej mama, ale wie wciąż doskonale, jak miał na imię jej pudelek. Później następują „lata nauki", tu pamięć staje się bardziej szczegółowa, pojawiają się liczni profesorowie i nie mniej liczne fortepiany (te drugie wydają się wręcz ważniejsze – jakby od fortepianu można było nauczyć się więcej niż od profesora). Podoba mi się tu pewna mała koincydencja, zdjęcie młodej Pobłockiej w towarzystwie Tatiany Nikołajewej (w książce jest dużo fajnych zdjęć) poprzedza refleksja: *podczas kontaktu z klawiaturą lubię doznawać takiego samego uczucia, jak podczas wyrabiania drożdżowego ciasta – klawisz ma się poddawać mojej dłoni, dotykowi palców, ma reagować na ciepło i ruch, aby w ostatecznym efekcie uzyskać absolutną doskonałość drożdżowej baby wielkanocnej, która dociera do wszystkich zmysłów, przyprawiając o zawrót głowy.* Tymczasem tę właśnie Nikołajewą scharakteryzował Jarosław Iwaszkiewicz jako *babę, która zamiast grać Bacha, powinna miesić ciasto*. Ciekawe, czy napisałby to samo o Pobłockiej, pewnie nie, ale nie dożył niestety jej sukcesu na Konkursie Chopinowskim (zabrakło paru miesięcy).

Po tych rozdziałach wspomnieniowych (które stopniowo zaczynają dotyczyć już wyłącznie fortepianów i ich stroicieli, ale kończą się intrygującą uwagą na temat „dźwięku długiego", *który wypełni czas i akustykę, który pozostanie w pamięci słuchacza i dzięki które-*

3 Jedyny fragment *forte* to dwa akapity poświęcone „lwom klawiatury", nie wymienionym zresztą z nazwiska: Lang Langowi i Yuji Wang; ich chyba Pobłocka rzeczywiście gorąco nie znosi, zresztą poniekąd słusznie.

mu dozna on olśnienia) następuje znienacka rozdział o Schubercie, o tyle zaskakujący, że w dyskografii Pobłockiej Schubert pojawia się w dawkach iście aptekarskich. Rozdział ten jest dość obszerny, acz podsumowuje go jedno zdanie: *Gdybym miała jednym słowem określić muzykę Schuberta, wybrałabym właśnie słowo „smutek"*. No i tyle. Kolejny rozdział, o Chopinie, jest znacznie bardziej zdawkowy, napisany jak gdyby „z musu", no ale w sumie wiadomo, Chopina Pobłocka nie znała osobiście, znała za to Lutosławskiego i Panufnika, których dotyczą następne rozdziały. Tu zostajemy wciągnięci w wir rozlicznych anegdotek, których nigdy dość i nie będę ich tu powtarzał, by nie psuć państwu przyjemności lektury, choć rozbawił mnie sposób, w jaki państwo Lutosławscy czytali gazety (oczywiście tylko w samolocie) oraz harfa w salonie państwa Panufników. Wiele się spodziewałem po rozdziale zatytułowanym *Nagrania*, ale niewiele się dowiedziałem. Oczywiście, jeśli „niewiele" to znaczy: że w czasie nagrywania *Mazurków* Szymanowskiego (chciałbym mieć je na płycie!) kwitły kasztany, że w czasie nagrywania *Koncertu* Lutosławskiego (pod batutą kompozytora) solistka była chora na różyczkę, a z kolei podczas rejestracji *Partit* Bacha[4] trwał remont Filharmonii Narodowej i fortepian otoczony był rusztowaniami. O Koncercie Pawła Szymańskiego, napisanym specjalnie dla Pobłockiej i dotychczas jedynie przez nią nagranym (choć grywał go też Maciej Grzybowski) dowiadujemy się najpierw tyle, że jest *lekko jazzujący na kanwie chorału*, co mnie – by tak rzec – zdetonowało, na szczęście nieco później (w rozdziale „Prawykonania") znajdujemy niemal całostronicowy „analityczny" fragment o tym utworze, dotyczący trudności, jakich przysparzał – czuję się więc ukontentowany.

Artystka nie ukrywa zresztą swojej niechęci do muzyki współczesnej (nie jest to jakaś silna niechęć, tylko taka, jak to zwykle u niej, *moderato*), na szczęście poszła za radą Jerzego Maksymiuka (*...aby przejść do historii, należy otrzymać od kompozytora utwór sobie dedykowany lub dokonać prawykonania nowej kompozycji*) i parę takich dzieł wykonała, w tym *Koncert* Pawła Mykietyna, z czym wiąże się zresztą smutna historia, bo sam kompozytor stracił chyba entuzjazm do tego utworu (jak gdzieś wyznał, był wtedy w depresji) i Pobłocka wykonała go tylko raz, na Warszawskiej Jesieni (na szczęście zdarzyło mi się wtedy tam być), a potem ukazał się na płycie w wykonaniu innej pianistki, wielka szkoda. Maksymiuk oraz Kazimierz Kord stali się bohaterami kolejnych rozdziałów, jako ulubieni przez autorkę koledzy-dyrygenci, spośród pianistów natomiast tylko Dang Thai Son, co zaskakuje nieco, bo przecież wygrał z nią w Konkursie, lecz jednak wygląda na to, że oni rzeczywiście się przyjaźnią, w każdym razie gdy pani Ewa pisze o panu Dangu, nie szczędzi słów zachwytu.

Osobny rozdział poświęcony został konkursom, zarówno tym, w których pianistka brała udział[5], jak i tych, w których jurorowała. Sam bywam jurorem w różnych konkursach (co prawda nie muzycznych), więc wiem, jaka to mordęga, a zarazem przyjemność (kiedy wygrywa nasz „faworyt"), i jak trudno uzasadnić swój wybór. Pobłocka potwierdza to, opowiadając raczej o zewnętrznych okolicznościach owych zmagań (*Był to mój pierwszy wyjazd do Afryki. Zachowałam z niego wiele wspomnień*), osobny passus poświęcając jedynie Aristo Shamowi, który zachwycił ją jako „genialny chłopiec", jednak niestety nie zdobył żadnych laurów na ostatnim Konkursie Chopinowskim, gdzie była jurorką.

Adam Wiedemann

Ewa Pobłocka: *forte-piano*. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021.

4 Przy okazji tego nagrania wybrzmiewa skarga, że *do dziś nie ukazała się ani jedna recenzja tej płyty*, tymczasem ja napisałem o niej dość obszernie, tyle że w *ResPublice*, która nie była pewnie pismem czytanym przez muzyków...

5 *Wiedziałam, że nie jestem ulubienicą publiczności ani krytyków* – stwierdza gorzko przy okazji Konkursu Chopinowskiego.